



WIELOPARTYJNOŚĆ nie jest sprzeczna z dyktaturą proletariatu

JEDNĄ z charakterystycznych cech polskiej drogi do socjalizmu jest wielopartyjność w systemie dyktatury proletariatu. Jeszcze do niedawna wielopartyjność ta miała charakter zupełnie fikcyjny. O Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym i Stronnictwie Demokratycznym mówiono jedynie jako o transmisjach partii.

Nic w tym dziwnego. Wszak istnienie tych partii politycznych obok PZPR w systemie dyktatury proletariatu nie pasowało do schematu kraju budującego socjalizm w warunkach monopartyjności. Skostniała dogmatyka, i nie tylko ona, z faktu istnienia jednej partii w Związku Radzieckim wyciągali wniosek, że monopartyjność jest niezbędnym warunkiem właściwego rozwoju państwa o ustroju socjalistycznym, że zachowanie monopartyjności jest równoznaczne z osłabieniem dyktatury proletariatu, co w konsekwencji może niechybnie doprowadzić do restauracji kapitalizmu.

Trzeba stwierdzić, że ten z gruntu dogmatyczny pogląd przyjął się u nas dość powszechnie i w tym m. in. należy szukać źródeł zepchnięcia ZSL i SD do roli transmisji — ugrupowań, powołanych do wykonywania poleceń partii w środowiskach, które znajdowały się w orbicie wpływów tych stronnictw. Postawienie ZSL i SD na jednej płaszczyźnie z organizacjami społecznymi ograniczyło do minimum rolę, jaką mogły odegrać te stronnictwa w życiu politycznym i gospodarczym kraju, sprzyjało podważaniu zasady sojuszu klasy robotniczej z chłopstwem i innymi warstwami mas pracujących, zaciążyło na jednostronnym charakterze tego sojuszu.

Czy wielopartyjność podważa u nas dyktaturę proletariatu?

Ideę dyktatury proletariatu jako niezbędnego warunku zbudowania socjalizmu sformułowali po raz pierw-

szy Marks i Engels. Zaden z klasyków marksizmu nie uważał dyktatury proletariatu.

● Ciąg dalszy na str. 2

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

NIEDZIELA Gazeta BIŁGOSTOCKA ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

ROK VII. Nr 64 (1717) 16 — 17 III. 1957 r. Cena 40 gr

Wiedeńska ulica

NA małym budynku dworca kolejowego widnieje napis: „Florisdorf — Wien”. Narreszcie po 24 godzinach kołowania pociągu dotarliśmy do pierwszego etapu podróży. A więc mamy aż 6 godzin opóźnienia!

Sąd na „Südbahnhof” — skąd za 30 minut miał odejść „Balkan - Express” — jest tak mniej więcej daleko, jak z Biłgostoku do Knyszyna. Niewąsko, co? A tu jak na złość o autokarze mającym nas tam podrzucić ani słychu ani dychu. Podobno zjawił się 6 godzin wcześniej, a ponieważ pociąg nie przyszedł zgodnie z „harmonogramem”, nie uznano za stosowne na nas poczekać.

A to ci dopiero nazywa się mieć pecha! Co robić? Nie

mam ani jednego szylinga, nie mówiąc już o groszach. Mam co prawda grosze polskie, ale te w Wiedniu nie idą.

Włóczyliśmy się po stacyjce jak bledne owce...

Ktoś zaproponował zadzwonić do Konsulatu PRL w Wiedniu. Niech przyjadą, niech zaopiekują się nami. Ktoś inny zgłasza wniosek pójścia do dworcowego lokalu. „Posiedzimy” na rachunek naszego konsula. Niech wie, że przyjaciele z Polski nie zapominają o nim.

„Coca - Cola”

W dworcowej knajpie, choć niewielkiej, jest wzorowy porządek, ład, czystość. Przy kilku stolikach siedzą podróżni, Austriacy, nad kufkami piwa.

„Herr Ober” w białym kitlu z czarną muszką pod szyją, uciechał się — co można było poznać po minie — na nasz widok. Zarobi trochę grosza, wszak 22 osobowa wycieczka, to nie byle co.

Czy zarobi?

Z gracją zbliżył się do stolika. I o dziwo — „Załatwiono go odmownie”. „Cóż, szylingów nie mamy. Zasmucił się „Herr Ober”, zasmuciły się trzy tegie bufetowe.

Siedzimy, patrzymy, dumamy... Na ścianach reklama „Coca - Cola”. A może tak spróbujemy tej „imperialistycznej gorzałki” na rachunek konsula? Okazja wkrótce się

ŚWIEDŹ KŁUSOWNIKA

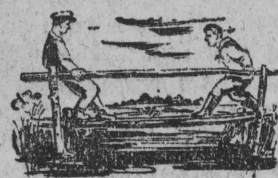
TRWAŁ w pełni sezon wędkarski 1956 roku. Ze Zdzisławem i Stefanem łapaliśmy pewnego dnia, z wielkim powodzeniem, w miejscowości L. Stalem na rozwalającym się mostku śledząc pilnie 12 spławików od szczupaków, które porostawiane były wzdłuż brzegu. Zdzisław, przeklinając swój los, ciągnął na płyciźnie kielbie, potrzebne nam jako żywe, a Stefan zacząłony za krzaczkami, targał płocie, aż przyjemnie było patrzeć.

Wędkarzem jestem z krwi i kości, toteż biciem serca, biciem serca charakterystycznym dla wszystkich tych, którzy niejedną godzinę spędzili nad wodą, przyjąłem sygnał. Spławik trzeciej z rzędu szczupakówki stojącej obok mostu, zniknął w głębinie. Linka, jak za pociąganiem czarodziejskiej różdżki, rozplątywała się w ślad za spławikiem. Ostrożnie podkradłem się do wędziska. Zdzisław widząc co się

święci, a chcąc być również świadkiem naocznym, rzucił żywcówkę i przykucnął koło mnie.

— Spokojnie — szeptał mi prosto w ucho — jeszcze nie czas, tu był duży żywiec.

Poddawałem, prosząc w duchu Boga, żeby szczupak nie zlisł się i nie puścił.



Nie puścił! Wprawdzie spławik wyszedł pod samą powierzchnię wody, ale po chwili jeszcze z większą szybkością zanurzył się w nurty. Podniosłem się. Podciąłem. Linka naprężyła się. Przez kilkanaście sekund — mocowałem się prawie że w miejscu ze zdobyczą. Wreszcie centymetr po centymetrze holowałem zdobycz do siebie. Jeszcze moment i oto chyba ze trzykilogramowy szczupak szamotał się na brzegu, w trawie. Zdzisław mrugnął okiem i swym zwyczajem burknął tylko.

— Dobra jest!

Wracał nie spiesząc się do żywcówki.

Zająłem znowu swe stanowisko obserwacyjne na rozwalającym się mostku. Przy padkowo spojrzałem na łake. Jakiś facet jechał rowerem. Zbliżył się, zsiadł ze swego stalowego rumaczka i energicznym krokiem podszedł do mnie.

— Bierze?

— Cholera człowieka bierze.

— Długo pan siedzi?

— A już trzeci dzień.

— A po chwili — oficjalnie.

— Jestem z Polskiego Związku Wędkarskiego. Chciałbym zobaczyć pana kartę wędkarską.

— A no, zaraz pan zobaczy.

Odwrociłem się i już nie przestrzegając „przepisów” ciszy krzyknąłem.

— Zdzisław, Stefek, chodźcie tu. Kolega z Polskiego Związku Wędkarskiego. Chce

nasze karty obejrzeć. Pozwólcie przyjacielem.

Zbliżyli się powoli, szukając, niby tych kart wędkarskich, w kieszeniach. Stefan przyszedł pierwszy. Zawsze był dżentelmenem.

— Pan z PZW? Bardzo nam przyjemnie. Ma pan jakiś dowódzik?

Po chwili staliśmy już we trójkę obok przedstawiciela Związku i oglądaliśmy z dokładnością oglądania dowodu osobistego legitymację PZW przybysza. Stefan zrobił do Zdzisława „perskie oko”. Zaczęła się zgrywa na całego.

— Panie, coś pieczątki nie taka. I fotografia nie bardzo podobna. Czy to przypadkiem legitymacja nie kradziona.

Zdzisław wtrącił jakby nigdy nie.

— Cholera wie co pan za jeden. Czego pan właściwie chce?

Gość już mniej energicznie domagał się kart wędkarskich. Staral się raczej wycofać z mostku do leżącego w trawie roweru, a przede wszystkim na „grunt”.

Stefan zastąpił mu drogę.

— O kartę panu chodzi. No zgoda. Mam tylko takie pytanie: czy kiedykolwiek już, w kwietniu, miał pan przyjemność kapać się w u-braniu? Nie? Szkoda. Może pan spróbować.

Mostek zatrzeszczał pod cięższym kontrolerem. Dopadł rower, a wśród naszego huczącego śmiechu zaczął zawzięcie pedałować po ścieżce, która nikłym śladem biegła wśród łąk.

Wrócił każdy do swego zajęcia.

● Ciąg dalszy na str. 4

MAGAZYN ROZMAITOŚCI

— patrz 8 strona

FOTOGRAFIA Z FANTAZJĄ

— patrz 8 strona

NAGRODY I ROZWIĄZANIE KONKURSU

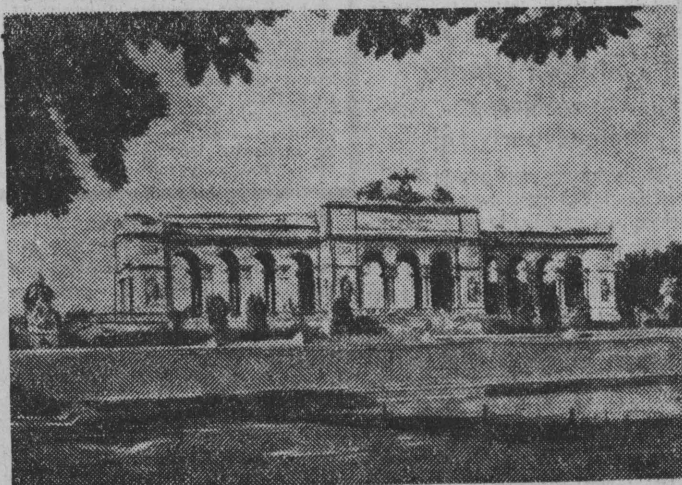
— patrz 8 strona

NOWY, CIEKAWY KONKURS

— patrz 8 strona

O DZIECIACH DLA STARSZYCH

— patrz 8 strona



Fragment parku Schönbrunn w Wiedniu.

Gubernator egipski przybył do Gazy

KAIR. — Jak podało radio kair- wznoszono okrzyki na cześć prezydenta Nassera i domagano się przywrócenia administracji egipskiej w mieście. Gen. Latif powitany został także przez przedstawicieli sił politycznych ONZ.

Śnowiedź Kłusownika

• Ciąg dalszy ze str. 1

JESTEM kłusownikiem. Nie tylko ja. Kłusownikami jest Zdzicho, Stefan, Kazik, wielu kolegów naszych współnych wędkarskich wypraw. Jesteśmy wędkarzami z krwi i kości. Znamy wszystkie przepisy wędkarskiego kunsztu. Ze względu na emocje rybackie, niektóre niedogodności dla nas przepisy umiemy nie przestrzegamy. Każdy z nas ma najmniej 5-7 wędek, w plecaku parę sznurów na 30 haczyków najmniej każdy, linę tak długą, że z powodzeniem na „szubienię” (trolling) targamy klenie na Narwi, każdy ma spinning.

Ale każdy z nas kocha prawdziwą wędkarską przygodę. Nie ma dla nas złej pogody, nie ma złego dojazdu. Rowem, motorem, plectotą — docieramy wszędzie, bez względu, czy się coś łapie, czy nie. To nasza pasja, nasz wypoczynek. Znamy rzeki i jeziora białostockie jak swe własne kieszki.

Jesteśmy kłusownikami. Kłusownikami będziemy również w tym roku. Zaden z nas nie wykupi karty wędkarskiej, chociaż w tym roku taryfa ulgowa — 75 złotych. Mamy swoje powody.



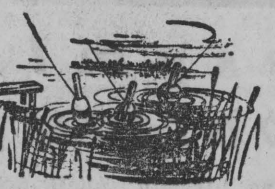
KOMARŹ cięły jak jasna cholera. Nie pomagały kaptury skafandrowo mocno związane pod szyją. Zdzisieś dokładał mokre gąsienice do ogniska, aby chociaż dymentem odstrząsnąć natrętów. Stefan poszedł sprawdzić grunty, a przy okazji wyciągnął z wody moczącą się na sznurku półlitrowkę. W kocheze skwierczała, dobrze okraszona smalcem, wołowa konserwa. Kolacja była gotowa.

Kłusownicy — krzyknęłam — chodźcie! Jesi i pić. Kapturek od miny modzlerowej napełniony jak oko krążył z rąk do rąk. Mimo komarów humory się poprawiały. Zdzicho wyraźnie rozzerwiał się.

Ryby, przyjemna sprawa, ale trochę wlecie — to wszystko jest nie w porządku. Jesteśmy poważni ludzie i... kłusownicy...

Stefan jakby na to tylko czekał.

Kłusownicy, k...ma, co za kłusownicy? Na kogo mamy robić 110 złotych rocznie za co? Dla sekretarek w PZW, dla tych nieszczęsnych 6 strażników, którzy mają niby strzec rybostanu w całym województwie. Nie chodzi o 110 złotych. Chodzi o zasadę. Za co płacić. Widziałeś zarybienie, za to niby nasze pieniądze. Zarybienie... a ryby co raz mniej. Co my za kłusownicy? Kilkanasie szczupaków w ciągu roku, parę kilo płoci, pół setki linów, jeden — dwa węgorze i parę sumików, kłie od czasu do czasu, miętuz na sznur i... od razu kłusownik. Co nam mogą zrobić. Wezmą na kolegium i po długich targach — parę złotych grzywny.



On nie byłby płajkie zwierzenia. To prawda. Czy jednemu z sześciu kontrolerów rybackich, bezbronnemu kontrolerowi, za 700 złotową pensję miesięcznie chce się włożyć po wszystkich wertepach, aby łapać kłusowników. Na pewno nie. Nic z tego nie ma. Nawet jak złapie, to otrzymuje premii złotych polskich 50. 50 złotych nie od szuki, ale w ogóle, za tak zwaną dzielną postawę.

Potrzućcie się kontroler narażać. Po co. We wsi Bokiny kilkunastu chłopów skoczyło do kontrolera z siekierami. Sprawa u prokuratora. Już prawie pół roku, a chyba słuch po niej zaginął. W Izbie są kontroler dostał wiosem po głowie i nurkował. Za 700 złotych miesięcznie plus 50 złotych premii.

My jesteśmy kłusownicy. Kłusownicy z wędkami. A w każdej wsi nad Narwią, Bugiem, Biebrzą, Narewką, Nurcem, Sokółką, Płoską, Czarną Hańczą, Elkiem, nad setkami jezior, co chałupa — to sieć — tryhubica, niewód, podrywka, kłomla, węgiel. Wiedzą kiedy sieć zastawiać. Pamiętam, liny miały akurat tarło. Tak zapelnili bębenek, że trzeba go było przy pomocy podrywki wyciągać. Mógł pęknąć.

Polski Związek Wędkarski istnieje tyle lat, i co? I nic. Kłusownictwo szerzy się wszędzie. Ryby giną, są niszczone masowo. W Deniskach na każde wesie, na każde chrzciny idzie najmniej pud ryby.



JESTEM kłusownikiem. Nie chodzi mi o 75 złotych, ale chodzi o zasadę. Zapłać 200 złotych rocznie, 300 złotych, ale wtedy, gdy będę miał pewność, że Polski Związek Wędkarski skutecznie walczy z kłusownictwem, że tak zorganizowana jest kontrola, iż nie ma mowy o tym, aby ktokolwiek kłusował. Jakimi metodami rozwiąże tę sprawę PZW — to jego sprawa. Ja i w tym roku nie wykupię karty wędkarskiej. Spróbujcie mnie złapać.

JERZY BAN

rytecie jednostki

PRZED rokiem, gdy XX Zjazd KPZR rozpoczął generalną rozprawę z wrzodem, który drażył partię komunistyczne i robotnicze, nasi i zagraniczni publicyści zaczęli natychmiast przekonywająco udowadniać, że „kult jednostki” nie oznacza bynajmniej autorytetu działacza. Autorytetu zdobytego zmusną pracą nad sobą, ogromnym poświęceniem sprawie ludzi pracy. Nasze VIII Plenum, a mówiąc ściślej popularność tow. Wiesława udowodniły z kolei, że autorytet działacza, to rzecz bardzo poważna, rzecz, która posiada ogromne znaczenie dla partii i narodu. Chodzi o to, aby autorytet zdobył sobie działacza partyjni pracujący, że tak powiem, na szczeblu wojewódzkim i powiatowym.

O tym, że to jest konieczne oraz o tym, jakie są drogi zdobycia autorytetu, zamierzam napisać słów kilka. Okazało się jednak, że przedświadczenia jest zbyt trudne. Na razie więc przekazuje Czytelnikom pod rozwagę i ewentualną dyskusję, niektóre luźne notatki.

ZAMBROW. Wiedzę Zambrzyce Stare, leżącą w tym powiecie. Spotykamy aktywistę partyjny młody:

— Nasz pierwszy sekretarz Roszczenko powinien częściej do nas przyjeżdżać.

— Dlaczego?

— On umie z chłopami rozmawiać. Jego ludzie rozumieją. Wierzą mu. Jemu nie boją się mówić o swoich wątpliwościach i pretensjach, które inni mogliby nazwać atakiem na partię. On potrafi ich przekonać. Czasem stanowczo, czasami żartem, a często również zgadza się z nimi. Mówi, że tak jest, ale jest

nie. Pyta chłopów, co trzeba robić, aby było lepiej.

ZAMBROW. Lokalny Komitet Powiatowy. Pierwszego sekretarza Roszczenki od dłuższego czasu nie mogę spotkać. Szukam go w mieście. Był w Prezydium PRN, był w Kombinacie, ale już go tam nie ma. Wracam do lokalu KP. Za chwilę ma się odbyć narada aktywistów partyjnych z całego powiatu. Ludzie czekają w świetlicy, na korytarzu. Frekwencja słaba. Wpada wreszcie tow. Roszczenko. Rzuci krótkie, trochę zdenerwowanym tonem polecenie.

— Zaprosicie ich do mego pokoju.

Aktywiści, w większości chłopci, przychodzą i śmiały, gospodarnym ruchem rozbiegają się, zajmując miejsca. Na pewno wszyscy z nich niejednokrotnie odwiedzili już ten pokój. Czują się w gabinecie sekretarza, jak u siebie w domu. Sekretarz organizacyjny tow. Jurczuk zagaja. Krótka dyskusja i głos zabiera tow. Roszczenko. Wówczas spomnieliśmy, iż zajął miejsce między uczestnikami narady. Mówi:

Oratorem, to on nie jest — myślę — ale mówi przekonywająco. Mówi na temat, który „walkowaliśmy” już w redakcji, w KW i na innych naradach. Początkowo nie interesuje się tym. W chwilę później słucham coraz uważniej. Wiele znanych myśli, rzucanych „centralnie” zaczyna przekształcać się, nabierać „powiatowego” konkretnego koloru. O ile znam trochę i sprawy chłopów powiatu zambrzyckiego, wiem, że rozumieją go dobrze. A omawiane problemy nie są bynajmniej łatwe... Biedota, średniak, chłop bogaty... gospodarstwo zaoferowanie, kółka rolnicze... rola partii...

Dyskusja. Ludzie mówią śmiało, z pasją. W wielu głosach słychać rozdrażnienie lub rozgoryczenie. Tow. Roszczenko tłumaczy, łagodzi, uspokaja. Zmusza do myślenia. Zabiera głos

kilkrotnie, ale bardzo krótko. Kilka razy podkreśla jedną i tę samą myśl.

„Jeśli widzicie zło, towarzysze, starajcie się wszystkim siłami zmobilizować ludzi bezpartyjnych do jego zwalczania...”

Notuję na tej podstawie kilka refleksji z niedawnej przeszłości. Przypominam sobie historię z innego powiatu, której akcja rozpręta się przed kilku laty.

BYŁ, łobuz, oszust, który porządnie założył za skórę chłopom. Członkowie partii do noszą o nim sekretarzowi KP. Ten z kolei żąda od władz powiatowych, żeby usunęło z zajmowanego stanowiska w GS-ie czy też Prezydium, nie pamiętam, tego właśnie łobuza. Żąda również przykładowo ukarania go. Po roku ów rozpizany kanciarz znowu wypływa na powierzchnię życia społecznego, tym razem w innej miejscowości. Znajduje obrońców, tzw. „plecy”.

Znajduje nawet możliwości, aby zaatakować sekretarza KP jako „dzierżymordecę” za to, że kazał go wyrzucić, a członków partii jako „spielców”, którzy donieśli do KP o jego sprawkach. Znajduje tam posłuch. Nie poznano się bowiem jeszcze na „działalności” tego kanciarza.

Autorytet partii w tej okolicy został bardzo nadzarpięty, mimo dobrych chęci członków partii i sekretarza KP. A winien temu był system, który pozwalał działać poza masą

mi bezpartyjnymi, w imię tych mas jedynie.

Sekretarz Roszczenko zrozumiał i poznał przyczynę zła.

„Chodzi więc o zupełnie co innego. Chodzi o to, by chłopci sami uczyli się rządzą, by nie w teorii, a w praktyce odczuli, co to znaczy „ludowładztwo” i własnie partia, wy członkowie partii macie ich uczyć sztuki rządzenia...”

Sekretarz Roszczenko tłumaczy o tym prawie z osobna każdemu uczestnikowi. Jest ich niewielu.

PO naradzie spotykam jednego z instruktorów. Zapamiętałem dokładnie jego słowa dotyczące tow. Roszczenki.

„Jeśli ma jakieś zdanie i chce, załóżmy o jego słuszności przekonanie jakiegoś działacza z Prezydium, PZGS-u albo z Kombinatu, to tak jakos „koluje”, tłumaczy, że ów jego rozmówca sądzi, iż to było jego własne zdanie...”

„Sprawa słuszną zwycięża, jej bojownik, a niejednokrotnie i twórca pozostaje w cieniu. Tak, to jest partyjna postawa. Postawa komunisty...”

LESZEK KOZUSZKO

P. S. Chciałem jeszcze porozmawiać z sekretarzem Roszczenko. Nie miał czasu. Poszedł do szkoły. Sekretarz Roszczenko uczy się w X klasie szkoły średniej. Przecież tak niedawno był jeszcze robotnikiem. (lk)

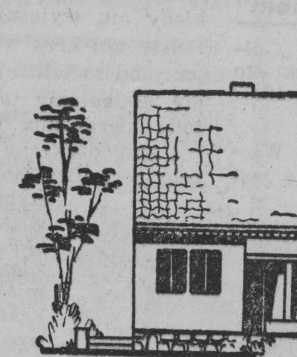


Domy, domy domy

Do znanych powszechnie klęsk w postaci głodu, ognia, posuchy, powodzi i wojny, doszła nam jeszcze jedna: głód mieszkaniowy. Nie ma już chyba dziś takich, którzy by nie zagadali się z tym problemem. Tysiące podań w referatach kwaterunkowych i w zakładach pracy mówią za siebie. Potwierdzają tezę o głodzie mieszkaniowym oficjalne statystyki, z których wynika, że zageszczenie na metr kwadratowy naszych mieszkań wzrasta z roku na rok.

Wobec powszechnych klęsk stosuje się powszechnie akcje walki z nimi. Wydaje mi się, że głód mieszkaniowy można będzie przezwyciężyć tylko i wyłącznie przy pomocy wielkiej społecznej akcji. Nie wystarczy sumy przeznaczane na budownictwo w budżecie państwowym. Sum tych zresztą nie jest za dużo. Państwo jest biedne, nie ma skąd brać. Toteż inicjatywa wszystkich tych, którzy chcą wygodnie mieszkać ma w walce z mieszkaniowym głodem bodajże większe znaczenie niż państwowe dotacje.

Tę prawdę zaczynamy wszyscy po woli rozumieć. Oto w Warszawie z inicjatywą młodych ludzi rozpoczęto budowę „Osiedla Bydgoskich Kochanków”. W Łodzi powstało towarzystwo mające się zająć organizacją budowy tysięcy jednorodzinnych domów. W Katowicach z tanich zastępczych ma-



Oto projekt najbardziej popularnego na Śląsku jednorodzinnego domu wolnostojącego. Na parterze znajduje się pokój z werandą, kuchnia, łazienka, spiżarnia oraz drugi pokój mieszkalny. Na piętrze są dwie sypialnie, stych i przedpokój. Dach kryty eternitem opartym na żelbetonowej wieżbie.

teriałów już buduje się jednorodzinne domy.

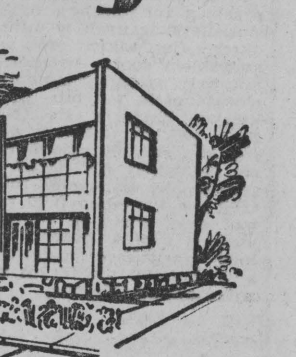
A u nas? U nas na razie społeczna inicjatywa nie została rozbudzona i wykorzystana. Amatorzy budowania sobie domów skupili się w ciasnych kołach spółdzielni. Dodałmy od razu, że spółdzielnie te skupują na razie ludzi posiadających siaki taki zapas pieniędzy. A więc sprawa stworzenia takich warunków, aby każdy przeciętnie zarabiający obywatel mógł rozpocząć bu-



Projekt piętrowej wille dla dużej rodziny. Na dole są dwa pokoje i kuchnia, a na piętrze łazienka i trzy sypialnie. W sumie powierzchnia użytkowa 100 metrów kwadratowych.

dowę swego własnego domu, stoi ciągle jeszcze otworem. Dlatego sądzimy, że trzeba jak najszybciej załatwić generalnie dla całego województwa. Naszym zdaniem powinno to być przedmiotem troski i zainteresowania ze strony Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Na niej, jako na gospodarzu terenu ciąży obowiązek zorganizowania powszechnego i taniego budownictwa jednorodzinnego.

Projektów organizacji takiego budownictwa jest wiele. Można na przykład stworzyć w Białymstoku spółdzielnię czy nawet państwowo - prywatne przedsiębiorstwo zajmujące się



prefabrykację elementów na domki. Uważamy bowiem, że tanie budownictwo to jest tylko budownictwo z materiałów zastępczych. To przedsiębiorstwo prefabrykacji sprzedawałoby komplet elementów na dom wszystkim, którzy chcą je kupić. Trzeba od razu dodać, że sprzedawałoby na raty.

Można także pójść dalej i zorganizować przedsiębiorstwo zajmujące się nie tylko prefabrykacją, ale i budową domków. Mogłaby to być nawet spółka akcyjna wszystkich chętnych na posiadanie własnych domów. Z wkładów można zorganizować przedsiębiorstwo bez uciekania się do dotacji państwowych. Zwrot akcji następowalby wraz z oddaniem do użytku akcjonariusza domu.

Takie i podobne projekty można by mnożyć w nieskończoność. Faktem jest bowiem, że w obecnych warunkach budownictwo jednorodzinne ma wielkie perspektywy. Trzeba tylko zdolnych organizatorów, aby te możliwości przekształcić w naszym województwie i mieście w rzeczywistość.

Odrębna sprawa to projekty archi-

książki

...powsadzał nas w ciała zwierząt

Właściwie „Poletko Pana Boga” Ershine Caldwell nie jest ostatnią nowością wydawniczą. Książka ta ukazała się pod koniec ubiegłego roku, zdobyła szybki rozgłos i natychmiast została rozchwyta.

„Poletko Pana Boga” zatytułować trzeba do takich żywiołów literackich, które nie pozwalają na obojętność i zmuszają do zajęcia jakiegoś określonego stanowiska. Nie dlatego, aby ukazanie się tej niewielkiej rozmiarów książeczki stanowiło jakieś epokowe wydarzenie artystyczne. Po prostu dlatego, że filozofia życiowa wyłożona przez autora jest czymś zaskakującym, prowokuje czytelnika do zastanowienia się: czy naprawdę Caldwell ma rację? A filozofia ta streszcza się w kilku zdaniach, które autor wypowiadał ustami starego Taty.

„Gdzieś tam zrobiono paskudny kawał. Pan Bóg powsadzał nas w ciała zwierząt, a kazał postępować jak ludźmi. Gdyby nas stworzył takim jakim jesteśmy, ale nie nazwał ludźmi, nawet ostatni z nas wiedziałby jak żyć”.

Na pewno nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że książka Caldwell stała się „przebojem” po prostu książką modną, o której chętnie się mówi, ba, nawet dyskutuje. Głosy są podzielone.

Jedno jest pewne — książka ukazuje czytelnikowi atmosferę typową dla środowiska farmerów, ciasnego krąg ludzi, których opętała „gorączka złota”, ludzi kierujących się w życiu bardziej instynktem niż rozumem. Caldwell nadał swoim bohaterom cechy ludzi pierwotnych, kazał im jednak żyć współcześnie, a taki anachronizm musi zrodzić konflikt... właśnie atmosfera książki wywołuje tyle sprzecznych opinii.

A jeśli książka prowokuje do dyskusji, to chyba warto ją przeczytać...

SAW

Mgr inż. Olgierd Wolczek

sekretarz Polskiego Tow. Astronautycznego

W szalonym pędzie ku gwiazdom

W roku ubiegłym planeta boga wojny — Mars — znajdowała się wyjątkowo blisko Ziemi. Astronomowie z całego świata zwrócili na nią swe lunety, by jak najwięcej szczegółów dostrzec na jej powierzchni, by znaleźć również dowody istnienia tam życia. Dziś, gdy odcyfrowuje się pierwsze wyniki ich obserwacji, trudno ukryć pewne rozczarowanie. Nawet istnienie niższych postaci życia roślinnego — glonów i porostów — może być podane w wątpliwość.

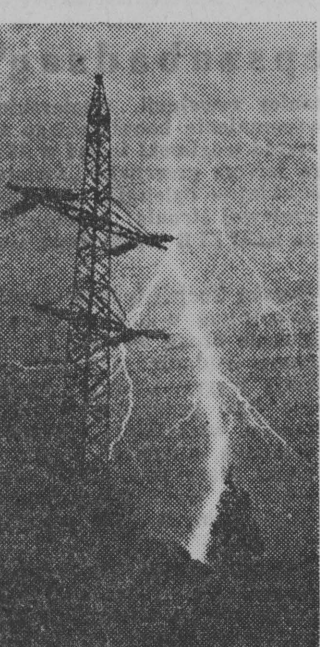
Warunków życia zbliżonych do ziemskich wypadnie szukać poza naszym układem słonecznym.

Nie znamy, ale możemy poznać. W tym celu wiadziemy na statki międzyplanetarne, zaopatrzone w odpowiedni napęd i pomniki ku odległym gwiazdom. Najbliższa z nich, Proxima Centauri, oddalona jest od nas pustką kosmiczną, przez którą promień światła biegnie aż 3,8 lat. A trzeba pamiętać, że promień taki w każdej sekundzie przemierza nie mniej niż 300 tysięcy kilometrów!

3,8 lat leci światło. A jak długo podróżować będzie człowiek? Jakże środki pozwolą mu na uzyskanie niesamowitych szybkości, przeznych do osiągnięcia przez niego celu?

Istnieją dwa wyjścia z trudnej sytuacji. Jednym z nich jest uzyskanie przez statek ziemski szybkości zbliżonej do prędkości światła. Teoretycznie znamy co najmniej dwa rodzaje napędów, które, być może, pozwolą na osiągnięcie tak niesamowitego pędu. Są to napęd jonowy i fotonowy.

W obu wypadkach 27 najbliższych nam gwiazd, oddalonych o mniej niż 13 lat światła (a więc znajdujących się w odległości, którą przemienienie jego przebiega w czasie krótszym niż 13 lat) byłoby osiągalnych w ciągu „wieka jednego człowieka”. Gustavson sądzi jednak, że nie jest konieczne podróżowanie z tak niesamowitymi prędkościami. Co więcej, przy takich szybkościach napotkanie bardzo nawet rozrzedzonego gazu kosmicznego jest wysoco niebezpieczne.



Uderzenia jego atomów o ściany statku miałyby podobny skutek jak bombardowanie promieniami kosmicznymi, ale o natężeniu nieporównanie większym niż na Ziemi.

Przy mniejszych szybkościach trzeba by było jednak przedłużyć życie człowieka przez osłabienie jego tempa. Już dziś znamy pewne sposoby urzeczywistnienia takiej możliwości. Hibernacja, czyli obniżanie temperatury ciała, stosowana np. przy operacjach serca, jest jednym z nich. Inny sposób związany jest z działaniem pewnych leków, takich jak np. kurara. Powodują one, w odpowiednich dawkach, zupełne znieruchomienie mięśni, co pociąga za sobą bardzo małe zapotrzebowanie energii na podtrzymanie życia i znaczne osłabienie jego tempa.

Jeden z ostatnich numerów „L'Humanité” zamieszcza szereg modeli firmy „Samaritaine” o charakterystycznym, klasycznie prostym kroju.

Oto na przykład wiosenna całość: sukienka z kurtką, konieczna — z tego samego materiału (rys. 3), oraz luźny, krótki żakiet z szywanymi kieszeniami model tej samej firmy (rys. 4).

Najmodniejszymi kolorami jakie lansuje Paryż na tegoroczny sezon, to wszelkie odcienie czerwieni, poprzez miedź do kasztanowego, dalej — bieżak od turkusowego do różowego.

tektoniczne domków. W różnych rejonach Polski aż roi się o nich. Trzeba przyznać, że są niekiedy bardzo pomyslowe, estetyczne i tanie.

Dzisiaj za katowickim „Wieczorem” podajemy kilka typów budowanych już na Śląsku jednorodzinnych domów z materiałów zastępczych: głównie z żużlobetonu i żubetonu.

Również i u nas powstało kilka bardzo ciekawych projektów jednorodzinnych domów. Ciekawych i tanich. Ale o tym czytacie już w następnym, niedzielnym wydaniu „Gazety Białostockiej”.

F. L.

Miedzy nami kobietami

Wiosna tuż, tuż...

W czasie tegorocznej zimy nie było zbyt wiele okazji do ubierania się w ciepłe futra i pelisy. Wreszcie, niejednokrotnie wydosławaliśmy z szaf lejsze, wiosenne płaszcze czy kurtki.

Znawcy „od pogody” przepowiadają też ciepłą wiosnę. A to już dostateczny powód do tego, aby już dziś pomyśleć o odpowiednim stroju.

Moda „podpowiada” na wiosenny sezon niezwykle praktyczne codzienne okrycia w postaci przedłużonych (trzy czwarte), luźnych kuretek.



Mogą one być z grubszego materiału (flausz), w pastelowych barwach. Model taki widzimy na fotografii 1. Kurtka ta wygląda efektowniej, gdy ma podbicie z barwnej kraty, takiej samej, jak spódnica czy sukienka, która będziemy najczęściej nosili na wiosnę. Wspomniany model wykonany jest kołnierzem-kapuzą oraz zapinaniem na koleżki.

Podobną kreację możemy uszyć z popeliny zwykłej lub impregnowanej, cienkiej brezentu i innych tego rodzaju tkanin. Efektownie przy tym fasonie wyglądają odszycia barwną nitką, kontrastującą z kolorem całości (fot. 2).

Jeden z ostatnich numerów „L'Humanité” zamieszcza szereg modeli firmy „Samaritaine” o charakterystycznym, klasycznie prostym kroju.

Oto na przykład wiosenna całość: sukienka z kurtką, konieczna — z tego samego materiału (rys. 3), oraz luźny, krótki żakiet z szywanymi kieszeniami model tej samej firmy (rys. 4).

Najmodniejszymi kolorami jakie lansuje Paryż na tegoroczny sezon, to wszelkie odcienie czerwieni, poprzez miedź do kasztanowego, dalej — bieżak od turkusowego do różowego.

tektoniczne domków. W różnych rejonach Polski aż roi się o nich. Trzeba przyznać, że są niekiedy bardzo pomyslowe, estetyczne i tanie.

Dzisiaj za katowickim „Wieczorem” podajemy kilka typów budowanych już na Śląsku jednorodzinnych domów z materiałów zastępczych: głównie z żużlobetonu i żubetonu.

Również i u nas powstało kilka bardzo ciekawych projektów jednorodzinnych domów. Ciekawych i tanich. Ale o tym czytacie już w następnym, niedzielnym wydaniu „Gazety Białostockiej”.



Fot. — Z. Zaremba



Mogą one być z grubszego materiału (flausz), w pastelowych barwach. Model taki widzimy na fotografii 1. Kurtka ta wygląda efektowniej, gdy ma podbicie z barwnej kraty, takiej samej, jak spódnica czy sukienka, która będziemy najczęściej nosili na wiosnę. Wspomniany model wykonany jest kołnierzem-kapuzą oraz zapinaniem na koleżki.

Podobną kreację możemy uszyć z popeliny zwykłej lub impregnowanej, cienkiej brezentu i innych tego rodzaju tkanin. Efektownie przy tym fasonie wyglądają odszycia barwną nitką, kontrastującą z kolorem całości (fot. 2).

Jeden z ostatnich numerów „L'Humanité” zamieszcza szereg modeli firmy „Samaritaine” o charakterystycznym, klasycznie prostym kroju.

Oto na przykład wiosenna całość: sukienka z kurtką, konieczna — z tego samego materiału (rys. 3), oraz luźny, krótki żakiet z szywanymi kieszeniami model tej samej firmy (rys. 4).

Najmodniejszymi kolorami jakie lansuje Paryż na tegoroczny sezon, to wszelkie odcienie czerwieni, poprzez miedź do kasztanowego, dalej — bieżak od turkusowego do różowego.

tektoniczne domków. W różnych rejonach Polski aż roi się o nich. Trzeba przyznać, że są niekiedy bardzo pomyslowe, estetyczne i tanie.

Dzisiaj za katowickim „Wieczorem” podajemy kilka typów budowanych już na Śląsku jednorodzinnych domów z materiałów zastępczych: głównie z żużlobetonu i żubetonu.

Również i u nas powstało kilka bardzo ciekawych projektów jednorodzinnych domów. Ciekawych i tanich. Ale o tym czytacie już w następnym, niedzielnym wydaniu „Gazety Białostockiej”.

tektoniczne domków. W różnych rejonach Polski aż roi się o nich. Trzeba przyznać, że są niekiedy bardzo pomyslowe, estetyczne i tanie.

Dzisiaj za katowickim „Wieczorem” podajemy kilka typów budowanych już na Śląsku jednorodzinnych domów z materiałów zastępczych: głównie z żużlobetonu i żubetonu.

Również i u nas powstało kilka bardzo ciekawych projektów jednorodzinnych domów. Ciekawych i tanich. Ale o tym czytacie już w następnym, niedzielnym wydaniu „Gazety Białostockiej”.

St. Szydłowski

Proszę bardzo

Psioczmy? Psioczmy. Psioczcie? Psioczcie. A po co to psioczyć, gdy piękne jest życie?

Od rana pochmurnie? To co, to pochmurnie. Niech będzie pochmurnie, Niech martwią się durnie.

Ze z chmurek znów śniap? Niech śniap. Cóż z tego. Dzień cały kapuśniak? To świetnie. Smaczne.

Ze leje i leje? Ze błota po kostki? Gdy życie jest piękne, że są to drobności.

A życie jest piękne. Wprost szesnastoletnie. Czy może być inne, gdy tyle obietnic?

Przyjaćiel obcał pożyteczną niemają. A dziewczę, cały, pięknie mi też obcał.

Maś jeden na szczeblu obcał — uznanie. A drugi — posade. A trzeci — mieszkankie.

A czwarty — podszepnął, by płył mnie poparł, by w górę się nieco podniósł ma stopa.

Ma stopa, ma stopa, ma stopa, ma stopa — Ten słówko, ów słówko, obietnicę już kopa.

Więcej pytam się: He ja czekać mam lat? Proszę bardzo, kobyłka stoi u ptiotu i wdzięcznie nadstawia zad.

F. L.

